David Wright O'Brien

Dajmy wygrać Marsa

(Let's Give Away Mars)

Amazing Stories, April 1951
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

I

Jakieś dwa miesiące po tym, kiedy moje nazwisko zostało dołączone na końcu nazwy firmy Beaton, Batten, Burton & O'Leary, doradców reklamowych, zdobyliśmy kontrakt dla Spy Soap.

Początkowo myśleliśmy, że chwyciliśmy Pana Boga za nogi, i mamy dosyć sił, aby go za nie przytrzymać. Piętnaście procent – zwyczajowa opłata dla agencji – corocznej prowizji za reklamowanie Spy, wystarczyłoby już samo do utrzymania wyścielanych dywanami biur i efektownych sekretarek, nawet w znacznie większej agencji niż nasza.

A potem osobiście spotkaliśmy się z Jeremiahem Spy, Królem Mydła, który wierzył w swój produkt z całą tą szaleńczą żarliwością misjonarza sprzedającego miejsca w Niebie i oprawione w płótno Biblie…

Siedział za swym podniszczonym biurkiem z odsuwanym blatem, chudy jak szkielet mężczyzna z przez cały czas obecną na twarzy, miną ponurej, sztywnej godności. Kiedy weszliśmy do tej obskurnej nory służącej mu za biuro, nie było żadnych sympatycznych wstępów, ani drinków w kryształowych szklaneczkach, czy też częstowania wszystkich dolarowymi cygarami.

— Panowie — warknął, — jedyne co mnie interesuje, to sprzedaż mydła. Innych ludzi może interesować seks, jedzenie, albo pokonanie osiemnastu dołków na polu golfowym po siedemdziesiątce. Ale ja nie uznaję w swoim życiu tego rodzaju rozpraszających spraw. Chcę, żeby ludzie kupowali moje mydło – a panów rzeczą jest zaplanowanie kampanii, która je sprzeda. Proszę mi powiedzieć, jak macie zamiar tego dokonać.

Mieliśmy przygotowane trzy sugestie, na tę chwilę. Odrzucił je wszystkie.

Po powrocie do naszego biura, urządziliśmy naradę całej czwórki. Przez większą część godziny, rzucaliśmy rozmaite bezproduktywne sugestie. I wtedy trafiła mi się krótka chwila oślepiającego rozbłysku, czystego geniuszu!

— Mam! — ryknąłem na cały głos. — Doskonały chwyt!

— Dzięki Bogu! — zawołał Johnny Beaton. — Wiedziałem, że możemy na ciebie liczyć, Mike!

Oskar Burton, najbardziej praktyczny ze współwłaścicieli firmy, popatrzył na mnie z powątpiewaniem.

— Proszę nam o tym opowiedzieć, panie O'Leary.

— Show z nagrodami — powiedziałem i uciąłem ich zbiorowy jęk, unosząc obie ręce do góry. — Posłuchajcie, wiem, że programy z nagrodami to obecnie już mocno oklepana sprawa. Ale dlaczego? Ponieważ sponsorzy nie mają już pomysłów, co dać jako nagrodę.

— A pan ma jakiś nowy pomysł na coś do wygrania? — sceptycznie spytał Burton.

— Zgadza się! Sugeruję przygotowanie programu, w którym jako główną nagrodę, szczęśliwi zwycięzcy będą mogli zdobyć darmową podróż na Marsa!

Cisza, jaka zapadła, była głęboka i niezbyt dla mnie pochlebna. Pozostali trzej partnerzy, popatrzyli po sobie nawzajem, a następnie cierpko unieśli wzrok ku sufitowi.

— Co się z wami dzieje! — krzyknąłem. — Czy tego nie rozumiecie? Oczywiście, że nie będziemy wysyłać ludzi na planetę Mars, wy ciasnomózgie osły. Znajdziemy jakieś małe miasteczko, powiedzmy gdzieś w Colorado, czy Wyoming, które zgodzi się na nasz numer i zmieni swoją nazwę na Mars. Ale najpierw ubijemy pianę rozgłosu i każemy wszystkim łamać sobie głowy nad tym, co my właściwie mamy zamiar zrobić.

Szczegóły planu pięknie ułożyły mi się w głowie, nawet kiedy jeszcze o nim opowiadałem.

— Jako nagrodę — mówiłem dalej, — przygotujemy niby statek kosmiczny, ustawiony na lotnisku Mitchell Field, i załadujemy do niego z wielką pompą wszystkich zwycięzców. Potem odpalimy mnóstwo rakiet, postawimy zasłonę dymną, zabierzemy zwycięzców ze statku kosmicznego, wsadzimy ich do samolotu i polecimy do Wyoming, do Mars, gdzie będą gośćmi Spy Soap przez wypełnione atrakcjami dwa tygodnie!

Do tego czasu, zaczęło to już docierać do pozostałych.

— Hej, to mi się podoba! — zawołał Johnny. — Gazety pokochają tego rodzaju numer.

— Chodźmy zobaczyć się ze Spy — zaproponował Oscar.

Jeremiah Spy wysłuchał naszego pomysłu, ze zwykłym wyrazem kwaśnego niezadowolenia na twarzy. Ale, kiedy skończyliśmy, oznajmił:

— Nie powiedziałbym może aż tyle, że mi się to podoba, ale warto tego spróbować. Ruszamy z tym!

Teraz musiałem zająć się sprawą budowy lipnego statku kosmicznego. Oczywiście, dobrze wiedziałem czego mi potrzeba. Czegoś w rodzaju standardowych i typowych pojazdów rodem z fantastyki naukowej, rakiety z lśniącym kadłubem, jaskrawymi płetwami sterującymi i tak dalej.

Pamiętałem pewnego profesora, którego poznałem w czasie studiów, i który miał hopla na punkcie podróży międzyplanetarnych. Nazywał się Hinesmuller i miał tak okropny akcent, że nie wierzę, aby ktoś w pełni zrozumiał co mówi, od czasu kiedy przed trzydziestu laty opuścił swoją rodzinną Austrię.

Skontaktowałem się z nim i umówiliśmy się na spotkanie jeszcze tego samego wieczora. Resztę dnia spędziłem z urzędnikami z Mitchell Field. Początkowo nie przyjęli całego projektu zbyt entuzjastycznie, dopóki ktoś nie zasugerował, że mogliby sprzedawać bilety ludziom, którzy chcieliby zobaczyć statek kosmiczny. Po tej propozycji atmosfera od razu zrobiła się znacznie bardziej serdeczna i zgodna.

Wieczorem, o siódmej trzydzieści, zapukałem do drzwi profesora, po pokonaniu trzech kondygnacji rachitycznych schodów, w budynku

stojącym w okolicy rojącej się od dzieciaków, straganów z zieleniną i ulicznych artystów.

Drzwi stanęły otworem i pojawił się w nich profesor. Niemal się nie zmienił w ciągu tych sześciu lat, kiedy go poprzednio widziałem.

— Wejdź, wejdź — powiedział serdecznie i poprowadził mnie do zagraconego pokoju, służącego jako pracownia i salon. Przyniósł butelkę sznapsa, poczęstował tytoniem fajkowym, a potem przyglądał mi się rozpromienionym wzrokiem, jak wesoła postać z Bożonarodzeniowych kartek. Jego włosy zrobiły się zupełnie siwe, ale były równie bujne jak zawsze, zaś oczy spoglądające spoza grubych dwuogniskowych okularów, ciągle były radosne i pełne młodzieńczego blasku.

— Jak leczi? — powiedział, przekrzywiając głowę.

— Słucham?

— Jak leczi? — powtórzył, chichocząc. Tryumfalnie plasnął mnie w kolano. — To szlang!

— Och. — W tym momencie załapałem. „Jak leczi?" oznaczało „Jak leci?", po odfiltrowaniu zakłócającego działania dialektu profesora.

— Jako tako — powiedziałem, starając się mówić bardzo wyraźnie. — Chcę, żeby zbudował pan dla mnie statek kosmiczny. Czy pan rozumie?

Zachichotał.

— Tak!

— Może pan to zrobić?

— Tak!

— A teraz sedno sprawy: ten statek ma być lipny. Czy pan mnie rozumie? Lipny.

Wyglądał jakby poczuł się zraniony.

— Dlatszego mnie tak nazywahsz, co?

— Nie, pan nie jest lipny. Ale statek kosmiczny ma być. A teraz, ile pieniędzy będzie pan potrzebował?

To sprawiło, że zrobił się podekscytowany.

— Mahsz pieniądsze? Pieniądsze na sztatek kosmitszny?

— Tak. Ile pan będzie potrzebował?

— Już wczeszniej pratzowalem nad sztatkiem kosmitsznym. Ale muszę mietsz jesztsze piętsz tysiętsy dolarów.

Ustaliliśmy jeszcze ten szczegół i powiedziałem mu gdzie statek miał zostać zbudowany. Potem powiedziałem do widzenia. Na dole, na ulicy zatrzymałem się jakoś mgliście zaniepokojony. Miałem wrażenie, że profesor jakoś nie do końca mnie zrozumiał. Zdawał się myśleć, że ma zbudować prawdziwy statek kosmiczny.

Roześmiałem się na ten pomysł, jako że wydawał się tak niedorzeczny, i poszedłem do samochodu…

Potem nadaliśmy naszemu show realne kształty, zaś zainteresowanie publiczności poczęło narastać, z siłą fali przypływu. Dosłownie wszyscy zaczęli mówić o darmowej podróży na Marsa!

Reakcje były mieszane i gwałtowne. Na lotnisko Mitchell Field napłynęły prawdziwe tłumy, aby popatrzeć na statek. Zaczęli o nim mówić senatorowie w Waszyngtonie, a jakiś żartobliwy parlamentarzysta, poczynił uwagę, że zaraz jak tylko tam wylądujemy, Mars będzie chciał od Stanów Zjednoczonych pożyczki. Spy Soap nieźle skorzystało na tej całej gadaninie.

W międzyczasie, znalazłem zabitą dechami dziurę w Oklahomie, która skłonna była wejść w nasz numer. Zgodzili się na zmianę nazwy swojej wiochy z Broken Elbow na Mars, na tę noc w czasie której emitowany będzie nasz program.

Pewnego popołudnia wypuściłem się na lotnisko, żeby sprawdzić postępy prac profesora. Zebrał się tam niezły tłum ludzi, obserwujących budowę statku, otaczający cały ogrodzony linami teren i dyskutujący ze znawstwem o ergach, polach grawitacyjnych i Warstwie Heaviside'a, czymkolwiek u licha te rzeczy były. Wszystko to udowadniało, jak łatwo ludzie w tym naszym dziwnym i niezwykłym kraju dają się ogłupiać. Pokazałem strażnikowi swoją specjalną przepustkę i wszedłem do środka, żeby spotkać się z profesorem. Znalazłem go z parą poważnych młodych ludzi, sprawdzających jakieś obliczenia na wykresach. Rozmawiali o rakietach pomocniczych.

W czasie kiedy profesor bełkotał coś w żargonie, złożonym w równych częściach z algebry, fizyki i angielskiego rodem z Ellis Island, rzuciłem sobie okiem na statek. Jak dotąd, wszystko szło wspaniale, zdecydowałem. Kadłub statku miał około osiemdziesięciu stóp długości i był cudem smukłego, lśniącego wdzięku. Na zwężającym się dziobie dumnie i dramatycznie prezentowały się płetwy sterujące, zaś ogon był pełen przepięknych baniek, które przypuszczalnie mieściły w sobie „rakiety". Spoczywając w rusztowaniu wyrzutni, wyglądał niesamowicie realistycznie.

Profesor podszedł do mnie, cały rozpromieniony.

— Sztartujemy za tydżień. Pszszszsz! — Nadął policzki i wypuścił z nich powietrze w jednym potężnym wydechu. — Dokladnie tak!

— Wspaniale — stwierdziłem…

W drodze powrotnej do biura, znów prześladowało mnie niepokojące wrażenie, że profesor i ja widzieliśmy tę sprawę z nieco odmiennej strony. Ale rozsądek wziął górę i uśmiechnąłem się do siebie. Popatrzyłem na wznoszące się nade mną prozaiczne ogromne budynki, oraz na uspakajające szare tłumy ludzi, przepływające koło mnie na chodnikach. Statki kosmiczne! To był naprawdę zabawny pomysł…

Program, jak określiło to Variety, był kolosalnym sukcesem! Został wyemitowany o ósmej, każde jego słowo chłonęło dwadzieścia pięć milionów ludzi, zaś cały naród czekał aż zadzwoni jego telefon.

Było troje zwycięzców głównej nagrody. Następnego ranka w depeszach agencyjnych ukazały się wywiady z nimi, w których opowiadali co czują na myśl o podróży na Marsa. Było to wspaniałe.

Kolejnego dnia pojawili się w naszym biurze, gdzie spotkałem się z nimi formalnie. Była to panna Murdock, pulchna, siwiejąca stara panna z badawczym błyskiem w oczach; Percy Wilkins, niesympatyczny chłopiec w wieku około czternastu lat, w okularach w rogowej oprawie, wysokim, sztywnym kołnierzyku, roztaczający wokół siebie atmosferę pańskiej wyższości; i Valerie Jones, szczupły, ładny rudzielec.

— Witam, witam, naszych szczęśliwych zwycięzców — oznajmiłem.

Percy obrzucił mnie podejrzliwym spojrzeniem.

— Określenie „szczęśliwi” nie jest specjalnie trafne.

Panna Murdock uśmiechnęła się głupkowato.

— Czy wie pan cokolwiek o męskich mieszkańcach Marsa? — spytała łobuzersko.

Valerie Jones nic nie powiedziała, co prawdopodobnie było całkiem niezłym wyjściem. Doszedłem już do przekonania, że Percy jest kompletnym małym skunksem, a panna Murdock okaże się straszliwie nudna. Wolałem utrzymać swoją obecną dobrą opinię na temat Valerie, co pewnie będzie łatwiejsze, jeśli będzie trzymała język za zębami.

Jednakże, jeszcze tego samego dnia, po oprowadzeniu ich po mieście, przestałem straciłem nieco ze swej pewności siebie. Valerie mówiła bardzo niewiele, ale wyczuwałem w niej coś niepokojącego, co wzbudziło moje podejrzenia. Nie była jakąś tam głupiutką panienką, którą zabierało się na przejażdżkę. W końcu, kiedy panna Murdock strzelała pożądliwymi spojrzeniami na kelnerów, zaś Percy paplał w obrzydliwie dorosły sposób z barmanem, zamieniłem z Valerie kilka słów.

— Wydaje się pani znudzona — powiedziałem. — Czy pominęliśmy jakieś pani ulubione miejsce?

— Nie.

— Czy to pani pierwsza podróż do Nowego Jorku?

— Tak.

— Podekscytowana?

— Klinicznie, tak.

Spojrzałem na nią, mrużąc oko.

— Co to znaczy?

Oznajmiła mi poważnie:

— Piszę pracę magisterską z socjologii. Ta podróż daje mi doskonałą sposobność studiowania neurotycznych kręgów naszego społeczeństwa.

— A któż to taki? — spytałem beznamiętnie.

— Pan, na przykład — odparła. — Pan i reszta pańskiego gatunku, z radia, public relations, i tak dalej. Przykładowo, ten pański numer. Czy pan sobie wyobraża, że normalna, zdrowa na umyśle osoba, byłaby w stanie wymyślić coś takiego?

— Nie podoba się to pani, co? — rzuciłem, poirytowany.

— Och, to ma służyć sprzedaży mydła, jak sądzę, ale w gruncie rzeczy, to krętactwo i rzecz godna pogardy.

— Och, czy aby na pewno? — stwierdziłem, co było raczej kiepską próbą obrony.

— Tak, z całą pewnością! — oświadczyła, biorąc swoje rękawiczki. — Wracam do pokoju, żeby zrobić parę notatek. Jakoś pan mnie usprawiedliwi, jestem tego pewna.

Wstałem i przyglądałem się jak odchodzi, rozmyślając o tym, jaka to szkoda, że taki ponętny okaz musi być skażony intelektem. Miała szczupłą, wyprostowaną sylwetkę, smukłe, ładne nogi, i przyglądałem się temu wszystkiemu z przyjemnością, póki nie zniknęła za drzwiami. Potem usiadłem i pochwyciłem chytre spojrzenie panny Murdock. Było to jak kubeł zimnej wody na głowę.

— Zostaliśmy zupełnie sami — powiedziała, chichocząc.

— A więc, musimy jak najszybciej to zmienić — odparłem pośpiesznie i machnięciem ręki poprosiłem o rachunek.

Następnego dnia, zdobywcy głównej nagrody, udzielili wywiadów w kilku stacjach radiowych, a Percy, przy pomocy jakichś bliżej mi nieznanych machinacji, dostał się do programu Arthura Godfreya. Potem nadeszła noc startu, i na krótko przedtem zanim udaliśmy się na lotnisko, oznajmiłem naszym zwycięzcom, gdzie tak naprawdę mamy lecieć, aby mogli powiadomić swoje rodziny. Nikt z nich nie wyglądał na specjalnie rozczarowanego.

Pojechaliśmy na Mitchell Field limuzyną, w asyście motocyklowej eskorty policyjnej. Czekali tam już na nas reporterzy wiadomości filmowych i gazet, razem z tysiącami ciekawskich widzów. Statek kosmiczny błyszczał jasno w promieniach reflektorów. Orkiestra grała taneczną muzykę. A banery reklamowe Spy Soap, powiewały dosłownie wszędzie.

Wspięliśmy się po rampie do włazu wejściowego statku, odprowadzani przez całą drogę potężnym rykiem tłumu. Profesor przywitał nas ciepło, chociaż nieskładnie i wciągnął nas do środka. Zamknął pokrywę włazu i zakręcił koło, które ją zablokowało i mocno docisnęło. Zaprowadził nas następnie na wyściełane gumową pianką fotele, wyposażone w pasy, które przymocowały mocno nasze ciała do oparć.

Profesor obdarzył nas wszystkich uśmiechem i potruchtał przejściem między siedzeniami, znikając w przedziale dziobowym statku. Chwilę później przyciszony łoskot wprawił w drżenie cały kadłub.

Profesor pojawił się w kabinie i machnął w naszą stronę ręką.

— No dobsze, zahraz stahrtujemy! Pszszszsz! — wypuścił ze świstem powietrze z ust. — Dokladnie tak!

Znowu zniknął nam gdzieś z oczu, a hałas stawał się coraz bardziej intensywny. Nagle poczułem, że mam wilgotne dłonie. Przeszyło mnie okropne uczucie, że coś tutaj bardzo nie gra.

— Profesorze! — wrzasnąłem na całe gardło.

Hałas nasilił się stukrotnie, usłyszałem huk, podobny do wystrzału z potężnej armaty i jakaś przemożna siła wcisnęła mnie w oparcie fotela. Rozległ się rozdzierający syk, jakby zmiatającego piasek z plaży cyklonu,

a następnie odebrałem wrażenie pulsującego, skierowanego w jedną określoną stronę ruchu.

Profesor pokazał się ponownie, z pijanym ze szczęścia uśmiechem na twarzy.

— To dziala! To dziala! — zawołał.

I wtedy zdałem sobie sprawę, tą częścią umysłu, która jest siedzibą wszystkich najbardziej koszmarnych lęków i obaw, że celem naszej podróży jest Mars – ale bynajmniej nie Mars w Oklahomie!

II

— To naprawdę miał być dowcip! — ryknąłem po raz kolejny.

Percy, panna Murdock i Valerie obdarzyli mnie minami, wyrażającymi różny stopień niedowierzania. Pędziliśmy przez kosmos już od jakichś dziesięciu godzin i nastroje były dalekie od entuzjazmu.

— Mam zamiar was pozwać — oznajmił Percy z irytującą rozkoszą. Naprężył swe chuderlawe ramiona. — Przez ten wasz tak zwany dowcip, nie będę mógł pójść na uczelnię ze swoją klasą.

— No cóż, to musi być straszne dla twojej klasy — odparłem kwaśno.

Panna Murdock szturchnęła mnie w pierś swoim kościstym palcem wskazującym.

— Myśleliśmy, że lecimy do Mars w Oklahomie!

— Na miłość Boską, jak też tak myślałem! — krzyknąłem.

W przejściu między fotelami pojawił się profesor, promieniejąc dobrym nastrojem. Percy i panna Murdock natychmiast zarzucili go skargami, jęcząc piskliwie. Kiedy zrobili sobie przerwę na złapanie oddechu, oświadczył:

— Dajczie spokój. Z radoszcią to dla was zhrobilem.

— Kiedy dolecimy na Marsa? — spytałem go. Pytanie zabrzmiało, jakby rodem z koszmarnego snu. Miałem wręcz nadzieję, że zaraz się obudzę. Nic takiego jednak nie miało miejsca. Nadal pędziliśmy z ogromną szybkością przez pustkę kosmosu.

— Niedlugo – za jakiesz oszem, dziesziętsz godszin.

— To tylko dowodzi, że jest pan szalony — parsknął Percy w swój zwykły „atrakcyjny” sposób.

— Tso? — Profesor popatrzył z góry na Percy’ego, ze znacznie mniej niż sympatią w oczach. — Phroszę, niech pahnstwo pójdą ze mną.

Zagonił nas na rufę statku, gdzie znajdowała się platforma obserwacyjna, umieszczona naprzeciw okna z przezroczystego szkła. Za oknem nie było widać nic poza atramentową ciemnością.

Profesor położył rękę na dźwigni.

— A tehraz phroszę patszecz!

Nacisnął dźwignię i nagle za oknem rozbłysła smuga światła, znikając po chwili.

— Gdzie ono zgasło? — powiedział Percy.
— Nie, światlo nadal szię pali. Tylko zostalo za nami. — Profesor roześmiał się wesoło. — Letszimy szybko jak diabli, tso?
Wydął policzki, ale tym razem skradłem mu show.
— Pszszszsz! — powiedziałem. — Dokladnie tak, tso?
Wyglądał na zdeprymowanego.
— Tak. Letszimy duhszo szbcziej nisz szwiatlo. Dlatego nie widszimy za nami Sziemi ani gwiazd. Ich phromienie nie mogą nas dogonitsz.
Dobry humor szybko mu wrócił, profesor uśmiechnął się i pośpieszył z powrotem do sterówki.
Valerie usiadła, założyła swą ładną nogę na drugą i zaczęła sporządzać notatki.
— Przyjmuje to pani całkiem spokojnie — zauważyłem.
— Próbuję nie dać się wciągnąć biegowi wydarzeń — odparła. — Stwierdziłam, że studiowanie życia z pewnego dystansu, jest znacznie bardziej interesujące.
— Pewnego dnia, życie podejdzie i kopnie panią prosto w tyłek — powiedziałem, niezbyt elegancko. Jej powściągliwość działała na mnie w intrygujący sposób. Podziwiałem ją za nią; a jednak chciałem zobaczyć jak jej spokój pryska strzaskany na kawałki, choćby na krótką chwilę.
— Raczej w to wątpię — oznajmiła i dalej pracowała nad swymi notatkami; ja zaś odniosłem irytujące wrażenie, że zapisuje naszą właśnie zakończoną rozmowę…

Osiem godzin szybko minęło. Wtedy profesor dał nam tabletki z witaminami i zatyczki do nosa połączone z cylindrami z tlenem, a nieco później wylądowaliśmy na planecie Mars, tak leciutko, jak mewa siada na wodzie. Właz został odblokowany i otworzony, zaś my ochoczo wysypaliśmy się z rakiety.
Ewidentnie profesor nie wybrał nam jakiegoś różanego ogrodu. Miejsce lądowania było skaliste, ponure, monotonne; pokrywająca wszystko szara mgła potęgowała jeszcze wrażenie wilgotnej mrocznej nory.
Ale profesor był cały w skowronkach.
— Udalo nam szię! — wołał.
— No dobra, lepiej startujmy z powrotem — powiedziałem i machnąłem ręką w stronę otaczającej nas zakazanej dziury. — Witaj i żegnaj, stara, dobra czerwona planeto. Wrócę do ciebie, kiedy założą tu kanalizację.
— Pośpiech nie wydaje się w tej chwili najwłaściwszy — sprzeciwiła się panna Murdock. — Może są tu jacyś mężczyźni… chciałam powiedzieć ludzie.
— Nie podoba mi się tu — stanowczo oznajmił Percy; Mars od razu zyskał w moich oczach.
— Tobie pewnie nigdzie się nie podoba — powiedziałem do niego.
— Nigdy nie lubiłem siedzieć na stercie kamieni — warknął.
— No tak, pewnie wypełzłeś spod niej.

Valerie popatrzyła na mnie chłodno.
— Jakie swoje potrzeby pan zaspokaja, krzycząc na to dziecko?
— On nie jest dzieckiem — pieniłem się. — On jest chodzącym okazem skunksa.
Nasza dyskusja, jeśli to właściwe słowo, została przerwana przez ostry, piskliwy wrzask panny Murdock. Wskazywała ręką w stronę horyzontu, a jej twarz wyglądała jak ożywiona suszona śliwka.
— Och tam, spójrzcie! — krzyknęła.
W naszą stronę przez mgłę, jakieś dwadzieścia stóp nad powierzchnią gruntu, ślizgało się osiem, czy dziesięć okrągłych, płaskich obiektów. Obleciały statek, a następnie usiadły na ziemi, otaczając nas ciasnym kręgiem.
Z podobnych do spodków pojazdów zaczęły wychodzić jakieś stworzenia.
— Hej, Mars jest zamieszkały! — krzyknąłem w przebłysku geniuszu dedukcyjnego.
— Och, wiedrzalem o tym — oznajmił profesor.
Istoty te były pulchne, miały krzywe nóżki i około czterech stóp wysokości. Miały łososiowy kolor, okrągłe, pozbawione włosów głowy i twarze – które zgodnie z moimi standardami trudno było uznać za przystojne – cechujące się przyjaznymi i dobrodusznymi rysami. Wszystkie były podobnie ubrane, w krótkie spódnice i kurtki uszyte z jakiejś metalicznej tkaniny.
Wyszli ze swoich niewielkich latadeł i pośpieszyli w naszym kierunku. Z ich otwierających i zamykających się ust wydobywały się dźwięki, które brzmiały całkiem jak intensywne zakłócenia z odbiornika radiowego. Zatrzymali się w odległości mniej więcej pięciu jardów od nas i wydając odgłosy jak ogromna misa chrupiących płatków, skłonili się nam w pół.
Jeden z nich podszedł bliżej i skłonił się tak nisko, że aż musnął czołem ziemię.
— Trzask, pstryk, puk! — zdawał się mówić. Potem powiedział jeszcze coś takiego, co postawiło mi wszystkie włosy na głowie. Było to jedno słowo.
— Bóg!

Valerie sapnęła z wrażenia, zaś panna Murdock opadła na kolana i wykrzyknęła potężnym, natchnionym głosem:
— Chwała Najwyższemu! Oni są chrześcijanami!
Profesor przekrzywił lekko głowę, nasłuchując przez cały czas trzeszczącego Marsjanina. Stopniowo jego oblicze począł rozjaśniać blask zrozumienia. Potem sam zaczął coś mówić, powoli, z przerwami. I teraz to on brzmiał podobnie do miski chrupiących płatków. Kiedy skończył, wszyscy Marsjanie poczęli klekotać jeden przez drugiego jak biuro pełne maszyn do pisania, przeplatając wygłaszane uwagi, nieustannie powtarzanym, jedynym zrozumiałym słowem: Bóg.

Ewidentnie, profesor zdołał się z nimi porozumieć, i wcale mnie to aż tak bardzo nie zaskoczyło. Do diabła, przecież on nie potrafił mówić po angielsku, a musiał w końcu znać jakiś język. Równie dobrze, mógł to być język marsjański.

Odwrócił się do nas i oświadczył:

— Oni chtsą, szebyszmy pohszli i zobatszyli hszię z Bogiem.

— Z Bogiem? — powtórzyłem.

— Oni tszczą Boga — powiedział po prostu.

— No cóż, przynajmniej tyle mamy wspólnego — stwierdziłem. — Może uda nam się tu znaleźć także paru dobrych graczy karcianych.

Valerie zmarszczyła brwi, słysząc moją beztroskę. Percy poklepał ją po ramieniu i powiedział:

— Weź pod uwagę, kto to mówi, moja droga.

Panna Murdock stawiła czoła sytuacji. Mrugnęła do Marsjanina, który przemawiał za całą grupę. Marsjanin popatrzył na nią i wyrzucił z siebie potok trzeszczących dźwięków, zaś panna Murdock zarumieniła się i odparła:

— Niegrzeczny! Niegrzeczny mały człowieczek!

Zastanawiałem się, w jaki sposób połapała się o co chodzi.

Dwóch innych Marsjan zaczęło paplać coś do profesora; kiedy skończyli, przekazał nam:

— Oni chcą, hszebyszmy z nimi tehraz pohszli. — Zmarszczył brwi. — Chcą tehsz wiedrzecz, tszy ktosz z nas jeszt chohry, tszy ktosz tratszi wzhrok i tszy ktosz – jak wy to mówitszie – nie ohszukalby nawet własnego bhrata.

— Nie rozumiem o co chodzi — powiedziałem skonsternowany.

— To dsziwne — zgodził się profesor, co uznałem za bardzo oględne określenie.

W każdym razie, weszliśmy do płaskich okrągłych statków – wyglądających jak duże talerze – i niebawem wzbiliśmy się w powietrze. Siedziałem koło panny Murdock, która aż się trzęsła z panieńskim podekscytowaniem, z powodu bliskości tak wielu stworzeń, mających szanse pół na pół, że okażą się mężczyznami.

Nie minęło nawet pół godziny kiedy dolecieliśmy do miasta, które wyglądało jakby zostało zbudowane z klocków przez mocno opóźnione umysłowo dziecko. Wokół nas we wszystkie strony chaotycznie strzelały rozmaite wieżyczki, stożki i iglice, niektóre z nich nie łączyły się z żadnymi innymi elementami, inne sterczały równolegle do ziemi, nie mogąc służyć do żadnego sensownego celu. Jedyne co byłem w stanie dostrzec, to plątanina cegieł. Były różnokolorowe, ale dominowały wśród nich ciemne błękity oraz czerwienie. W przyćmionym świetle słonecznym, które przesączało się przez mgłę, miasto jaśniało jaskrawym blaskiem.

Wyładowaliśmy się na pustym terenie pomiędzy dwoma czerwonymi budynkami. Szybko zająłem miejsce u boku profesora. Wydawało się, że wie, co się tu dzieje. A tego nie można było powiedzieć o nikim innym, włączając w to nawet i Marsjan.

Popchnięto nas łagodnie w stronę chodnika wiodącego między dwoma budynkami. Do tej pory przyłączyło się do nas jeszcze więcej Marsjan i hałas wywoływany przez ich paplaninę przypominał z grubsza odgłosy ogromnej hordy cykad.

Chodnik zakończył się u wysokich, podwójnych wrót. Szturchnąłem profesora w bok.

— Co się dzieje?

— To dsziwne. Nahsze hradio…

— Radio? A co radio ma z tym wspólnego?

Westchnął i wzruszył ramionami.

— Nie wiem.

Nasza wiele wyjaśniająca konwersacja musiała ulec zawieszeniu, ponieważ wielkie wrota otworzyły się na oścież. Wlaliśmy się do wielkiej sali o zielonych ścianach, wypełnionej rzędami foteli. Ściana na przeciwległym jej końcu była pusta i migotały na niej białe odblaski światła.

Wkrótce salę wypełnił tłum ludzi i wrota zostały zamknięte, odcinając dopływ światła. Siedzieliśmy w ciemnościach, wpatrując się w migoczące światło na przeciwległej ścianie…

Wzorzec światła zaczął drgać i zmieniać się, przyjmując kształty wzorów w jodełkę.

Wtedy Marsjanie zaczęli skandować zgodnym chórem i ściany zadudniły ich stalowymi głosami. Zrobili krótką przerwę, i w jednej wielkiej eksplozji dźwięków, zawołali:

— Bóg!

Powtórzyli to trzykrotnie.

Szczerze mówiąc, do tej chwili, dostałem już na całym ciele gęsiej skórki.

Nagle zabrzmiała muzyczna fanfara. Potem w całej sali zahuczał potężny głos. Słowa były niewyraźne, ale usłyszałem dobrze jedno z nich, i brzmiało ono podobnie do „uderz”.

Oświetlona część ściany obudziła się do życia.

Po jej powierzchni przebiegły rozbłyski światła, a następnie pojawiła się na niej gigantyczna głowa. Głowa uśmiechnęła się, pozdrawiając nas pogodnie, a ręka machnęła przyjaźnie w naszą stronę.

Poczułem jak mózg staje mi dęba.

— Bóg! — zawołali Marsjanie ogarnięci pobożną histerią.

Zacisnąłem dłonie na oparciu fotela i postanowiłem nie myśleć o niczym – zupełnie o niczym!

I przez następne pół godziny, oglądaliśmy sobie przyjacielskiego, rudowłosego człowieka, odgrywającego swoją scenę na jasno oświetlonej ścianie w marsjańskiej świątyni.

Przyjaznego, rudowłosego człowieka, który nazywał się Arthur Godfrey[1]!

---

[1] Arthur Godfrey (1903-1983) - amerykański spiker radiowy, telewizyjny i komik.

III

— **O**n jest ich Bogiem i to whszystko!

Profesor powiedział to, jakby była to rzecz równie prosta do zrozumienia, jak tabliczka mnożenia.

Byliśmy sami w obszernym, ale słabo umeblowanym pomieszczeniu, do którego zabrano nas po show Godfreya. Valerie, panna Murdock i Percy byli po drugiej stronie korytarza, w podobnym miejscu.

Próbowałem zachować spokój, niestety nie udało mi się to.

— A więc, Godfrey jest ich Bogiem, tak? — Głos mi się załamał w środku zdania i zakończyłem je piskliwym wysokim C. — Ot, tak po prostu! — Szturchnąłem profesora w pierś końcem palca. — To są przecież Marsjanie, czy pan zapomniał? Jak show Godfreya się tu przedostał? Czy istnieje jakaś sieć marsjańska, o której nikt mi nic nie powiedział?

— To dsziwne — przyznał. — Oni jakohsz odbiehrają nahsze radio. I nahszą telewizję.

Przez chwilę wręcz współczułem Marsjanom.

— To musiało być dla nich naprawdę trudne — powiedziałem. — A więc to w ten sposób nas poznają. Przez radio.

— Zgadza hszę. Pamiętahsz, pytali nas, kto z nas jest chohry, kto thratszi wzhrok, i…

— Oni są fanatykami mydlanej opery — stwierdziłem.

— Mydlanej opehry?

Profesor potrafił mówić po marsjańsku, potrafił też budować statki kosmiczne, mógł rozwiązywać zagadki naukowe, bez zmrużenia oczu, ale jego ignorancja w pewnych kwestiach była dosłownie kosmiczna.

Zacząłem mu wyjaśniać, ale otworzyły się drzwi i to oszczędziło mi kłopotu. Do środka weszli Valerie, panna Murdock i Percy, a razem z nimi mały Marsjanin, który wyszedł na spotkanie naszego statku kosmicznego. Nazywał się jakoś podobnie do Krikki-Krik, i przywitał ciepło profesora. Zaczęli coś do siebie paplać, zupełnie jak goście na spotkaniu w klubie, w jakimś odległym zakątku na Ziemi.

Zaskoczyła mnie radość, z jaką przyjąłem widok Valerie; jej reakcja była jednak nieco odmienna. Nadal zachowywała lodowatą rezerwę.

— Dlaczego nie odpręży się pani choć trochę? — spytałem ją. — Pomimo wszystko raczej nie grozi nam tu żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo, a szansa bezpiecznego powrotu na Ziemię wydaje się być całkiem niezła.

— Nie czuję strachu — oświadczyła. — Raczej jestem trochę znudzona.

— Na szczęście, ja nie — wtrąciła panna Murdock, wywijając rękoma. — W tym miejscu, aż roi się od mężczyzn!

— To nie są mężczyźni, tylko Marsjanie — stwierdził Percy, w swój normalny, paskudny sposób.

— Mój drogi, „Czymże jest nazwa?” jak to powiedział Szekspir — pisnęła panna Murdock, a jej śmiech sugestywnie pokreślił figlarne tło dowcipu.

Valerie usiadła i wyjęła swój notatnik. Nieproszony przysiadłem się do niej i zacząłem studiować wyrazisty, klasyczny profil jej twarzy.

— A więc, czuje pani znudzenie, tak?

— Zgadza się. Wartość tej absurdalnej podróży jako nowego doświadczenia, bardzo szybko uległa zużyciu.

— Powiedziane jak na prawdziwego socjologa przystało — zauważyłem, czując narastający we mnie prawdziwy gniew. — Wydaje się pani, że odkryje prawdę o życiu między półkami bibliotecznymi, albo czytając napisane drobnym druczkiem odnośniki stworzone przez innych mieszkańców wież z kości słoniowej, którzy nigdy nie wyściubili nosa na świat i nie mieli pojęcia co ludzie naprawdę myślą i co jest dla nich ważne. Znalazła się pani tutaj, na Marsie, pomiędzy pierwszymi istotami ludzkimi, którym dane było pokonać kosmos i odwiedzić inną cywilizację, spełniając marzenia ludzi od czasu kiedy po raz pierwszy spojrzeli w gwiazdy. A pani się zachowuje, jakby pani utknęła na letnim urlopie w Filadelfii.

— Nie prosiłam pana, aby mnie pan analizował — odparła.

— Mimo wszystko, mam zamiar to zrobić — oznajmiłem jej ponuro. — Sądzę, że obawia się pani życia. Ta postawa chłodnego lekceważenia, którym pani emanuje, jest ewidentnym mechanizmem obronnym. Nic pani nie wie o życiu i w głębi serca boi się pani, że nie poradziłaby sobie z jego problemami. A więc ukryła się pani przed nim za pancerzem z książek.

Na jej policzkach pojawiły się jaskrawe oznaki gniewu.

— To nie fair — zawołała gorąco. — Nie ma pan prawa, żeby mnie tak określać, i… — Urwała nagle i zerwała się na nogi. Dostrzegłem, że drżą jej wargi.

Bitwa została przerwana przez profesora. Podszedł do nas i dotknął mojego ramienia.

— Khrikki-Khrik chtse hszebyszmy whrótszili do sali.

— Dlaczego? Co się dzieje?

— Chyba hszę domyszlam, ale to thrudno wytlumatszycz.

— No dobrze. Niech pan spróbuje powoli i po kolei.

— My… whszystsy… mamy whsiątsz udszial w phroghramie z naghrodami. — Popatrzył na mnie z niepokojem. — Na hrazie jahsne?

— Proszę dalej — powiedziałem; ale mój głos brzmiał niezbyt pewnie.

— No cóhsz. To whszystko.

— Proszę poczekać. A co my mamy robić w tym programie?

— To mnie naphrawdę zastanowilo. Mamy bytsz, jak by tho powiedszietsz…

— No, proszę dokończyć!

Profesor rozpromienił się.

— Juhsz mam. Mamy bytsz naghrodami.

Ogromna sala znowu była wypełniona po brzegi Marsjanami, ale tym razem byli oni w nastroju publiczności na niedzielnym festynie. Stanęliśmy przed nimi na podeście, reflektory świeciły nam prosto w oczy.

Myśli kotłowały mi się w głowie – żeby to łagodnie określić.

Valerie stała koło mnie i po raz pierwszy wyglądała na bardzo niepewną.

— Czy… czy wie pan, co tu się dzieje? — spytała mnie.

— Tak. Mamy zostać wygrani. Jesteśmy głównymi nagrodami w marsjańskiej loterii.

— Och, ale to przecież jakiś idiotyzm! Ja nie chcę być niczyją wygraną.

— Zdaje się, że nie ma pani wyboru.

Popatrzyła na mnie z paniką.

— I ma pan zamiar im na to pozwolić?

Skrzyżowałem ręce na piersiach i przybrałem wzniosły wyraz twarzy.

— Wolę przyglądać się rzeczywistości z bezpiecznego dystansu. Jestem spokojnym widzem na brzegach rzeki życia. Niech jego strumień pieni się i płynie! Cóż ja mogę zrobić? Ja także potrafię być taoistą, jak pani z pewnością zauważyła.

Odwróciła się ode mnie z gniewem.

— Pan sobie ze mnie kpi. Odbija pan we mnie moje własne słowa.

— No cóż, jeśli pani pamięta, uważała pani, że są to bardzo mądre słowa.

Krikki-Krik w tej właśnie chwili uniósł ręce i w całej sali zapadła cisza. Podprowadził profesora kilka kroków do przodu i na widowni rozległo się przyciszone, wydawało się, że przyjazne brzęczenie. Następnie przed szereg wyprowadzony został Percy, co zostało przyjęte kompletnym milczeniem. Ja byłem kolejny, spotykając się z umiarkowanie ożywioną reakcją. Jeśli jej natężenie miało oznaczać poziom aprobaty, wyprzedziłem Percy’ego z całkiem bezpieczną przewagą. Zerknąłem na niego i parsknąłem.

Panna Murdock otrzymała całkiem imponujące poparcie. Irytujące brzęczenie i trzaski wzmogło się do poziomu lekkiej wrzawy, ale kiedy do przodu wyszła Valerie, dach się niemal zawalił. Publiczność zerwała się na nogi i trzeszczała jak tysiąc szumiących stacji radiowych. Ewidentnie potrafili rozpoznać dobre ciacho, kiedy je zobaczyli.

Valerie rzuciła w moją stronę wystraszone spojrzenie.

Uniosłem zaciśnięte ręce nad głowę.

— Gratulacje, szanowna czempionko — wrzasnąłem na całe gardło.

— Bardzo zabawne — odparła zimno.

Odprowadzono nas do naszej izby, zaś profesor usiłował wypytać Krikki-Krika o to, co się przed chwilą wydarzyło. Ale musiało to być albo za proste, albo za skomplikowane, ponieważ poddał się w końcu ze zdumionym wzruszeniem ramion.

— To kompletny obłęd! — oznajmił, kręcąc głową.

W końcu otworzyły się drzwi i do środka weszli dwaj Marsjanie. Byli więksi niż Krikki-Krik, i wyglądali na pewnych siebie i wiele mogących. Odniosłem wrażenie, że należą oni do takich, którzy wiedzieliby w jaki

sposób obstawiać wyniki wyborów i co w trawie piszczy na wyścigach konnych – to jest, wiedzieliby na Ziemi.

Jeden z nich, uśmiechnięty przystojniaczek, zaczął manewrować w stronę panny Murdock. Drugi zaś, nawet jeszcze bardziej wyszczerzony, skierował się do Valerie.

Krikki-Krik coś powiedział, a profesor przyłożył sobie obie dłonie do głowy i pokręcił nią lekko.

— Zwycięhscy — oznajmił pustym głosem.

— A niech mnie — zauważyła panna Murdock. — Od zawsze byłam pewna, że w końcu złapię *jakiegoś* rodzaju faceta.

— Och! — załkała Valerie i ukryła twarz w dłoniach.

Krikki-Krik wyrzucił z siebie coś niezrozumiale, a profesor popatrzył na obie kobiety i uśmiechnął się niewyraźnie.

— To są bahrdzo bogatszi Mahrsjanie. Są wlaszcitsielami wielkich fahrm. Khrikki-Khrik mówi, hsze panie mają oghromne hsztszęście.

— Wielka farma? — z zadowoleniem stwierdziła panna Murdock. — No cóż, czy to nie wspaniale?

— Oni zabiohrą panie juthro — mówił dalej profesor. — Whszystko juhsz ustalone.

Dwaj fartowni Marsjanie obrzucili ostatnim zachwyconym spojrzeniem swoje nagrody, a następnie wymaszerowali z pomieszczenia, promieniejąc szczęściem.

Valerie tupnęła nogą. W oczach błyszczały jej łzy.

— Nie pojadę na żadną marsjańską farmę!

— Posłuchaj mnie, dziecko — powiedziała panna Murdock. — To wszystko nie jest takie złe.

— Bóg! — nagle oznajmił Krikki-Krik i zaklekotał coś do profesora.

— Muhsimy znowu iħśtsz na nabohszenstwo — oznajmił pogodnie profesor.

Przypomniałem sobie wówczas, że Godfrey jest na antenie mniej więcej przez cały czas nadawania programu i perspektywa wielbienia go przez osiemnaście godzin na dobę nie wydała mi się specjalnie różowa.

Nie było jednak wyboru. Weszliśmy do wielkiej sali, gdzie tysiące Marsjan czekało gorączkowo na swoją Najwyższą Istotę. Godfrey wszedł po reklamie, a ja wyprostowałem się w fotelu i dałem kuksańca mojemu sąsiadowi, którym okazał się być rozmodlony Marsjanin. Obrzucił mnie zranionym spojrzeniem i powrócił do swych medytacji – a ja posłałem kuksańca w drugą stronę, tym razem trafiając w żebra Valerie. Było to całkiem sympatyczne miejsce do tego, by ją trafić.

— Auć! — oznajmiła.

— Oglądaj! — szepnąłem jej do ucha.

Była to bezsensowna uwaga, jako że nie było nic innego do roboty poza oglądaniem; ale ona także usiadła bardziej wyprostowana.

I wtedy, obok swojskiej, pogodnej twarzy Godfreya, pojawiło się szczupłe i wiecznie niezadowolone oblicze Percy’ego. To był program,

który nagrali kiedy byliśmy w Nowym Jorku, i teraz właśnie po pokonaniu warstwy Heaviside'a oraz przestrzeni kosmicznej, sygnał telewizyjny dotarł tutaj, na Marsa.

Od strony Marsjan doleciało zdumione klekotanie.

— Hej, to ja! — wrzasnął Percy z instynktem prawdziwego gwiazdora.

Program toczył się dalej i poza krótkim występem Percy'ego, był równie sympatyczny, jak zawsze. Ale później, kiedy ściana ściemniała i otworzono wielkie wrota sali, wśród Marsjan podniósł się szelest zmieszania.

Kłębili się wokół nas, trzeszcząc z ekscytacją, a ci którzy znajdowali się najbliżej Percy'ego zaczęli oddawać mu pokłony, uderzając czołami w podłogę.

Percy podniósł się, niemalże mrucząc z zadowolenia, z powodu tej całej uwagi, jaką przyciągnął. Przez chwilę rozglądał się wokół siebie z zaskoczeniem. Potem, widząc że coraz więcej Marsjan zaczyna bić mu pokłony, odzyskał głos.

— Oni mnie adorują! — zawołał pełnym szczęścia głosem. — Myślą, że jestem Bogiem!

— Bóg! — wymamrotałem.

Marsjanie zwiększali natężenie swojego hołdu dźwiękowego, aż do chwili gdy cała sala zaczęła buczeć jednym głosem, a ja z pewnym niepokojem zauważyłem dosyć zadowolony ale surowy wyraz pojawiający się na obliczu Percy'ego.

IV

Kiedy znaleźliśmy się z powrotem w naszych pomieszczeniach, byłem sam z Valerie. Percy został na zewnątrz, na korytarzu, gdzie oddawała mu cześć grupa pijanych ze szczęścia Marsjan, zaś profesor i Krikki-Krik konferowali w innym pokoju. Nie miałem najmniejszego pojęcia gdzie była panna Murdock, i obchodziło mnie to jeszcze mniej.

Valerie chodziła w tą i z powrotem, wykręcając sobie dłonie. Wyglądała rozdzierająco smutno. Chwyciło mnie to za serce.

Podszedłem do niej i złapałem ją za ramiona.

— Niech pani posłucha — oświadczyłem jej. — Nie pozwolę żadnemu marsjańskiemu wsiokowi, żeby panią zabrał i zrobił z pani dziewczynę do dojenia krów.

— N-nie? — powiedziała niepewnie.

— Z całą pewnością, nie! Zabiorę panią z powrotem na Ziemię. I mam zamiar nauczyć panią o życiu więcej, niż dowiedziałby się pani nawet w dwudziestu bibliotekach.

— T-taki ma pan zamiar?

— Tak!

A potem pocałowałem ją, mocno, długo. Na chwilę ciało dziewczyny zesztywniało, a dłonie zaparły się o moje ramiona; potem jej ręce powoli otoczyły moją szyję.

Później – dużo później – oderwaliśmy się od siebie, aby złapać oddech.

— Lekcja numer jeden — oznajmiłem.

— Zaczynam rozumieć — odparła z rozmarzeniem. — Może po kilku kolejnych lekcjach…

Rozpocząłem lekcję numer dwa.

W czasie tego wspaniałego spotkania nauczyciela z uczniem, otworzyły się drzwi i do środka wszedł Percy. Wyrwał mu się ostry jęk wstrząsu.

— Jeszcze nigdy nie widziałem czegoś tak obrzydliwego — zawołał. — Musiała pani chyba upaść na głowę, panno Jones.

Valerie niechętnie odsunęła się ode mnie. Popatrzyła na Percy'ego i westchnęła z zastanowieniem.

— Nie każda dziewczyna ma szansę złoić skórę Marsjańskiemu Bogu.

— Chyba nie będziesz miała już lepszej okazji — dorzuciłem.

— Chwileczkę — zawołał Percy, wycofując się ostrożnie w stronę drzwi.

Valerie była jednak bardzo szybka i zdeterminowana. Złapała Percy'ego za fałdę spodni, kiedy już miał wyprysnąć za drzwi, i w ciągu ułamka sekundy przełożyła go przez kolano i zaczęła tłuc z niesamowitym entuzjazmem.

Z prawdziwą przyjemnością wysłuchałem jego obrażonych skrzeków.

Kiedy Valerie go puściła, jak na mój gust zdecydowanie za szybko, pomknął do drzwi i zaczął wygrażać nam pięścią.

— Jestem Bogiem i nie wolno wam mi tego robić! Ja wam jeszcze pokażę!

Z tymi słowami wybiegł z pokoju…

Po kilku chwilach przyszli profesor i Krikki-Krik. Stałem z Valerie, otaczając ręką jej talię i rozmyślałem – niezupełnie o tym, czego byście się spodziewali. Wymyśliłem sposób na nasz powrót na Ziemię oraz wyciągnięcie panny Murdock i Valerie z tej afery z farmerami.

— Panie profesorze — poleciłem mu. — Proszę powiedzieć Krikki-Krikowi coś takiego: te programy z nagrodami opierają się na czymś odpowiednim do wygrania. A ja wymyśliłem nagrodę, która zaskoczy i rozgrzeje do białości każdego na Marsie. No dalej, proszę mu to powiedzieć!

Ze zdumionym wzruszeniem ramion, profesor powtórzył moją wiadomość Krikki-Krikowi, który zareagował na nią zdecydowanym zainteresowaniem.

— No dobrze — kontynuowałem. — Profesorze, proszę przekazać mu resztę tego co powiem, z całą elokwencją, na jaką pana stać. Główną nagrodą będzie… darmowa podróż na Ziemię.

Kiedy profesor powtarzał moje słowa, poczułem, że kółeczko się zamknęło. Wyszliśmy od darmowej podróży na Marsa i nieuchronnie zatoczyliśmy krąg do darmowej podróży na Ziemię.

Na te wieści, Krikki-Krik po prostu wybuchnął pokazem najwyższej satysfakcji. Ale zanim wypadł z pokoju, krzyknąłem jeszcze:

— Jedna sprawa, panie profesorze. Proszę mu powiedzieć, że te pierwsze wygrane muszą zostać anulowane. Niech pan mu powie, że… dziewczęta są niezbędne do obsługi statku kosmicznego.

— Och! — zawołała ze szczęściem Valerie.

Profesor powtórzył to, co mówiłem i Krikki-Krik nie wnosił sprzeciwu. Zdawał się mieć straszną ochotę na uruchomienie nowego show i wypadł z pokoju uśmiechnięty od ucha do ucha.

Wszystko poszło gładko. Program stał się wielkim sukcesem, zwycięzcy zostali wybrani, a profesor rozpoczął przygotowania statku do podróży powrotnej na Ziemię.

Był tylko jeden problem. Panna Murdock zniknęła razem ze swoim farmerem-zwycięzcą. Przypuszczam, że skalkulowała sobie, iż Marsjanin w ręku jest lepszy niż dzięcioł na sęku. W każdym bądź razie, kiedy nadszedł czas startu, nie było jej na liście obecnych.

— Może to i lepiej — stwierdziła Valerie. — Będzie tutaj szczęśliwa.

— Ona byłaby szczęśliwa gdziekolwiek, gdzie udałoby się jej dopaść jakiegoś faceta — skomentowałem.

Dopiero kiedy zebraliśmy się razem i już mieliśmy udać się na statek, w tryby całej maszynerii wpadł ogromny klucz francuski. Nagle otworzyły się drzwi i do środka wparadował Percy, a za nim tuzin surowo wyglądających Marsjan z paskudnymi włóczniami w dłoniach.

Percy otworzył usta i wytrajkotał coś po marsjańsku, a jego włócznicy otoczyli nas kołem, podstawiając nam błyszczące szpice swej broni prosto pod nosy.

— Plany uległy zmianie — spokojnie oznajmił Percy. — Ja jestem tutaj Bogiem, i postanowiłem je zmienić. Profesor może sobie wracać na Ziemię, ale Valerie zostanie ze mną. W końcu będę potrzebował… ehem… Bogini.

— Niech mnie drzwi ścisną! — zawołałem. — A ona odrzuciła Marsjanina.

— Ty, O'Leary — kontynuował surowym tonem Percy — także tutaj ze mną zostaniesz. Jako mój osobisty służący.

Profesor, dziwnie zdecydowanym ruchem, wyjął z kieszeni wielki srebrny zegarek. Złapał go za koniec łańcuszka i pozwolił aby powoli się obracał. Na jego wypolerowanych krawędziach skakały i połyskiwały rozbłyski światła.

— Perhcy — powiedział łagodnym, przyciszonym głosem. — Popatsz na zegahrek.

— Tak? — Percy rzucił okiem na zegarek, a jego wzrok przesuwał się w ślad za jego ruchem. — Nie rozumiem, co… — głos powoli mu zamierał.

— Tehraz lepiej — mówił profesor, uśmiechając się. — Jehsztesz zmętszony, co Pehrcy?

— No cóż, prawdę mówiąc, chyba tak — odparł Percy ściszonym głosem.

— Muhsisz odpotsząncz. Zabiehsz swoją gwahrdię khrólewską ze sobą i idsz do sypialni. Szpij jak Bóg.

— Tak, muszę to zrobić — wymamrotał Percy.

Powiedział do swojej świty coś po marsjańsku, a następnie, idąc jak lunatyk, odwrócił się i wymaszerował z pomieszczenia. Jego gwardziści ruszyli za nim, klekocząc coś z zaskoczeniem, między sobą.

— Ruhszajmy! — oznajmił profesor Hinesmuller, z chytrym uśmieszkiem na twarzy…

Z lekkimi sercami pomachaliśmy Marsowi na pożegnanie. Stałem otaczając Valerie ramieniem, kiedy profesor zamknął statek i zaprowadził dwóch zwycięskich Marsjan na ich fotele.

— Czuję się taka szczęśliwa z powodu panny Murdock — delikatnym tonem powiedziała Valerie.

— Ja również.

— Za to bardzo mi żal biednego Percy'ego.

— Jeśli chodzi o Percy'ego — odparłem, — to znacznie bardziej mi żal biednych Marsjan.

KONIEC